

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

### COLE

Nowa mikstura była jak trucizna.

Wyszedłem z domu po północy. Noc była czarna jak smoła, ale i tak nasłuchiwałem, żeby mieć pewność, że jestem sam. Żołądek skręcał mi się z głodu – było to uczucie jednocześnie bolesne i produktywne. Niepodważalny dowód na to, że pracowałem. Post sprawił, że stałem się rozdygotany i czujny. To był okrutny rodzaj upojenia. Położyłem notes ze szczegółami eksperymentów na schodach, żeby Sam domyślił się, gdzie się podziałem, gdybym nie powrócił. Las mnie wzywał. Drzewa nie spały, nawet jeśli wszystko wokół pogrążone było we śnie.

Opartem głowę o nadgarstek i zamknąłem oczy.

Moje serce wrywało się z piersi niczym spłoszony królik.

Płyn w strzykawce był bezbarwny jak ślina i rzadki. W moich żyłach zmienił się w żyletki i piach, i ogień, i rtęć. Był jak nóż przecinający każdy krąg w moim kręgosłupie. Miałem dokładnie dwadzieścia trzy sekundy, żeby zastanowić się nad tym, że być może tym razem naprawdę się zabiłem, i jedenaście więcej, by pomyśleć z nadzieją, że jednak nie. A potem jeszcze trzy na żal, że nie zostałem w łóżku. Na koniec zostały mi dwie sekundy, w sam raz na przekleństwo. „Jasna cholera!”

Wyskoczyłem z ludzkiego ciała. Skóra rozpadła się tak szybko, że fizycznie poczułem, jak oddziera się od moich kości. Moje serce eksplodowało. Gwiazdy zawirowały wściekle nad moją głową. Próbowałem przytrzymać się schodów, ściany, ziemi, czegokolwiek, co stałoby w miejscu, bez ruchu. Notes spadł ze schodów, moje ciało runęło za nim...

A potem pobiegłem.

Znalazłem ją! Mieszankę, której chciałem użyć, żeby wydostać Becka z jego wilczej formy.

Podczas biegu mój organizm leczył się – stawu łączyły się ze sobą, skóra zrastała wzdłuż kręgosłupa, komórki odbudowywały z każdym skokiem. Jak niewiarygodna maszyna. Wilcze ciało, w które byłem obecnie przyodziany, utrzymywało mnie przy życiu, nawet jeśli kradło moje ludzkie myśli.

„Jesteś Cole St. Clair”.

Jedno z nas będzie musiało zachować swoje wspomnienia, jeśli mamy zamiar przesiedlić sforę. A przynajmniej zapamiętać wystarczająco dużo, żeby zgromadzić wilki i zaprowadzić je w wyznaczone miejsce. Musi być jakiś sposób, żeby przekonać wilczy mózg do skupienia się na tym prostym zadaniu.

„Cole St. Clair”.

Próbowałem uchwycić się tej myśli. Trzymać się jej. Co mi przyjdzie ze zdolności do przemiany i zawładnięcia wilczym ciałem chociaż na kilka chwil, skoro nie będę mógł Cieszyć się swoim triumfem?

„Cole...”.

Słyszałem wszystko, co lasy miały do powiedzenia. Wiatr krzyczał mi w uszach, gdy zagłębiałem się w gęstwinę. Moje łapy pewnie pokonywały powalone gałęzie i sterczące krzaki jeżyn, a pazury drapały o wystające kamienie. Pokonałem spadek terenu i przeskoczyłem przez spory rów.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że nie jestem sam. Sześć inny wilków biegało razem ze mną. Rozpoznawałem w ciemności ich harmonijne kształty. Zapachy zdradzały ich tożsamość bardziej precyzyjnie niż imiona. Moja sfora. Otoczony przez inne wilki, byłem bezpieczny, pewny siebie, niepokonany. Czyjeś kły kłapnęły wesoło przy moim uchu i wymieniliśmy się obrazami. Dotarliśmy do wąwozu. Miękka ziemia, a pod nią ciąg króliczych nor. Niebo – czarne i nieskończone.

Twarc Sama Rotha.

Zawahałem się.

Obrazy przyplływały i odpływały, trudniejsze do złowienia, bo zostałem w tyle. Skoncentrowałem się, żeby zachować w myślach ideę imienia i twarzy.

„Sam Roth”.

Zwolniłem do chodu. Kiedy jeden z wilków zawrócił, by mnie ponaglić, kłapnąłem na niego zębami, żeby zdał sobie sprawę z tego, iż nie mam ochoty na zabawę. Inny wilk polizał mój pysk, potwierdzając dominację, którą już zdobyłem. Po chwili kłapnąłem także w jego stronę, żeby mieć chwile spokoju. Zawróciłem tam, skąd przyszedłem, z nosem przy ziemi, nadstawiając uszu. Szukałem czegoś, co nie do końca potrafiłem zrozumieć.

„Sam Roth”.

Powoli i ostrożnie pokonywałem ciemny las. Starłem się wyjaśnić ten przekazany mi w myślach obraz ludzkiej twarzy.

Nagle poczułem, że jeży mi się sierść na grzbiecie, a mój kręgosłup przeszył ból, szybki i niewytłumaczalny. Potem poczułem uderzenie.

Biała wilczyca zanurzyła kły w moim karku, a ja zatoczyłem się, próbując utrzymać równowagę pod jej ciężarem. Zaatakowała mnie z zaskoczenia i nie trzymała za mocno, więc strząsnąłem ją z siebie, warcząc. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Wilczyca nadstawiała uszu, śledząc moje ruchy, bo ciemność ukrywała przed nią mój kształt. Za to jej białe futro odznaczało się wyraźnie w mroku. Jej postawa emanowała agresją. Nie wyczuwałem jej strachu, ale przecież górowałem nad nią wielkością i siłą. Powinna się w porę wycofać, a jeśli nie, walka nie potrwa długo.

Nie doceniłem jej.

Kiedy zaatakowała po raz drugi, owinęła łapy wokół moich ramion niczym imadło i chwyciła mnie zębami pod żuchwą. Trzymała coraz pewniej i sięgała do tchawicy. Pozwoliłem, by przewróciła mnie na grzbiet, tak żebym mógł kopnąć ją w brzuch tylnymi łapami. Puściła mnie tylko na sekundę. Była szybka, skuteczna, nie bała się. Chwyciła mnie za ucho i poczułem eksplodujący żar, zanim zastąpiła go wilgoć krwi. Kiedy się wykręciłem, rozerwała mi skórę zębami. Rzuciliśmy się na siebie, pierś w pierś. Sięgnąłem jej gardła, chwytając w zęby skórę i futro. Wymknęła mi się zwinnie, jakby była stworzona z wody.

Złapała mnie za pysk. Poczułem jej kły szorujące po kości. Poprawiła uchwyt i teraz liczyło się tylko jedno.

Moje oko.

Rzuciłem się do tyłu, rozpaczliwie próbując ją obezwładnić, zanim zniszczy mi twarz i wyłupi oko. Nie miałem dumy. Skomliłem i kładłem uszy po sobie, próbując okazać poddaństwo, ale nie zwracała na to uwagi. Spomiędzy jej zaciśniętych szczęk wyrwał się warkot, który przeniknął wibracjami moją czaszkę. Moje oko eksplodowałoby od niego, gdyby nagle nie ucichła.

Jej kły przesunęły się bliżej mojego oczodołu. Mięśnie mi drżały. Były przygotowane na ból.

Nagle wilczyca zaskomlała i wypuściła mnie. Wycofałem się, potrząsając głową. Krew zalewała bok mojej głowy, ucho wciąż krzyczało z bólu. Zobaczyłem, jak biała wilczyca kuli się poddańczo przed dużym szarym wilkiem. Czarny stał tuż za nim, z uszami podniesionymi w gniewie. Sfora powróciła.

Szary wilk zwrócił się ku mnie. Zobaczyłem, jak uszy białej wilczycy natychmiast unoszą się, porzucając poddańczą formułę. Gdy się do niej nie zwracał, wszystko w niej jeżyło się z buntu. Jej ciało mówiło: „Poddam się, ale tylko póki patrzysz”. Wilczyca utkwiała we mnie wzrok. To była groźba – teraz to rozumiałem. Miałem zająć miejsce w hierarchii sfory niżej od niej albo znowu będę musiał z nią walczyć. I może wtedy sfory nie będzie w pobliżu, by ją powstrzymać.

Nie byłem gotów na to, żeby się wycofać.

Odwzajemniłem spojrzenie.

Szary wilk zrobił kilka kroków w moja stronę, przesyłając mi obrazy mojej zmasakrowanej głowy. Ostrożnie obwąchał moje ucho. Miał się na baczności, bo pachniałem coraz mniej wilkiem, a coraz bardziej człowiekiem. Moje dziwne ciało pracowało ciężko, by uleczyć rany i przenieść mnie do innej formy. Nie było wystarczająco zimno, żebym mógł pozostać w wilczej skórze.

Biała wilczyca mierzyła mnie wzrokiem.

Czułem, że nie zostało mi dużo czasu. Mój mózg znowu zaczął się rozciągać.

Szary wilk warknął, a ja szarpnąłem się, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że kieruje swój gniew pod adresem wilczycy. Odsunął się ode mnie, wciąż warcząc. Czarny wilk też warczał. Biała wilczyca zaczęła się cofać. Jeden krok, potem drugi. Zostawili mnie.

Przeszły mnie ciarki. Przemieniałem się. Szary wilk – Beck – kłapnął zębami na wilczycę, odpychając ją ode mnie. Ratowali mnie.

Biała wilczyca po raz ostatni spojrzała mi w oczy... Do następnego razu.